

Max Paradox

PROBLEM? WYLUZUJ. OGARNIESZ TO!

Seria poradników z przymrużeniem oka ;)

Moje Dziecko Ma Grafik Jak Dyrektor Generalny

**Jak wybierać zajęcia dodatkowe, chronić zwykły
wolny czas i przestać organizować dzieciństwo
jak przygotowania do igrzysk**



**Mamy problem. Ale spokojnie.
Da się go rozwiązać i jeszcze będzie z czego się pośmiać.**

Moje Dziecko Ma Grafik Jak Dyrektor Generalny

Jak wybierać zajęcia dodatkowe, chronić zwykły wolny czas i przestać organizować dzieciństwo jak przygotowania do igrzysk

Max Paradox

PROBLEM? WYLUZUJ. OGARNIESZ TO!

SPIS TREŚCI

INTRO.....	5
Rozdział 1 - Kiedy rozwój zaczyna przypominać logistykę.....	11
Rozdział 2 - Skąd właściwie wzięły się te wszystkie zajęcia.....	19
Rozdział 3 - Czy dziecko naprawdę chce tam chodzić?.....	28
Rozdział 4 - Kiedy hobby dostaje KPI.....	36
Rozdział 5 - Wolny czas nie jest awarią w kalendarzu.....	43
Rozdział 6 - Rodzic też ma limit przewozów.....	51
Rozdział 7 - Najpierw życie, potem zajęcia.....	59
Rozdział 8 - Zajęcia też zabierają czas na ludzi.....	66
Rozdział 9 - Planuj energię, nie tylko godziny.....	73
Rozdział 10 - Każde nowe „tak” potrzebuje starego „nie”.....	80
Rozdział 11 - Wybieraj zajęcia po dopasowaniu, nie po folderze.....	87
Rozdział 12 - Umówcie się na punkt kontrolny, zanim będzie kryzys.....	94
Rozdział 13 - Zrób rodzinny reset zamiast wiecznie poprawiać grafik.....	102
Rozdział 14 - Naucz się mówić „nie” ludziom, którzy mają świetny pomysł na twoje dziecko.....	109
Rozdział 15 - Kiedy dobry plan nagle przestaje działać.....	116
Rozdział 16 - Nie każde dobre zajęcie musi zmieścić się w budżecie.....	123
Rozdział 17 - Kiedy każde dziecko potrzebuje czegoś innego.....	131

Rozdział 18 - Zauważ, kiedy kalendarz znowu zaczyna puchnąć.....	139
Rozdział 19 - Oddawaj dziecku coraz więcej sterów.....	146
Rozdział 20 - Dzieciństwo nie jest projektem do zoptymalizowania.....	153

INTRO

Jest wtorek, godzina 16:47. Dziecko wychodzi ze szkoły, ale nie do końca wychodzi, bo mentalnie jest już w drodze na angielski. Plecak trafia do samochodu, człowiek wręcza mu banana metodą stosowaną zwykle podczas pit stopu w Formule 1 i rusza przez miasto, sprawdzając jednocześnie, czy korki pozwolą zdążyć na 17:15. O 18:10 odbiór. O 18:30 szybka kolacja. O 19:00 trening. O 20:20 prysznic. O 20:35 zadanie z matematyki, które według nauczyciela powinno zająć „dosłownie chwilę”, czyli zgodnie z międzynarodowym systemem jednostek około czterdziestu pięciu minut płaczu całej rodziny. O 21:20 ktoś przypomina sobie o modelu układu słonecznego na jutro. Rodzic spogląda na kalendarz i odkrywa, że jego dziewięcioletnie dziecko ma mniej wolnych okienek niż dyrektor regionalny podczas kwartalnego zamknięcia sprzedaży. Brakuje tylko asystentki, cateringu i informacji, że spotkanie z klockami Lego zostało przesunięte na trzeci kwartał.

Najdziwniejsze jest to, że zazwyczaj nikt nie planował stworzenia takiego systemu. Wszystko zaczęło się niewinnie. Jedne zajęcia, bo dziecko lubi pływać. Drugie, bo języki się przydadzą. Trzecie, bo koledzy chodzą. Potem ktoś powiedział, że teraz najlepiej rozpocząć naukę instrumentu, bo później będzie trudniej. Ktoś inny wspomniał o programowaniu, bo przecież przyszłość. Doszedł sport, ponieważ ruch jest zdrowy, a po sporcie coś artystycznego, żeby rozwijać kreatywność. Każda pojedyncza decyzja brzmi rozsądnie. Dopiero kiedy połączysz je wszystkie, wychodzi człowiek, który jeszcze nie ma dowodu osobistego, ale już potrzebuje kolorowego kalendarza współdzielonego z rodziną i procedury awaryjnej na

wypadek odwołania basenu. Problem nie polega więc na tym, że rodzice oszaleli i postanowili zarządzać dzieckiem jak projektem strategicznym. Problem jest znacznie bardziej podstępny: prawie każda kolejna rzecz ma sens.

Do tego dochodzi strach przed niewykorzystaną szansą. Może właśnie tenis okaże się czymś, w czym dziecko jest wyjątkowo dobre? Może za pięć lat podziękuję nam za dodatkowy angielski? Może gdybyśmy zapisali je wcześniej na pianino, dziś grałoby Chopina zamiast na naszych nerwach? Rodzicielstwo wyjątkowo łatwo zamienia się w działalność prowadzoną pod hasłem „lepiej dać możliwość niż później żałować”. Tyle że możliwości mają osobliwą cechę: każda potrzebuje wtorku o siedemnastej, stroju na zmianę, opłaty do dziesiątego dnia miesiąca i człowieka dysponującego samochodem. W pewnym momencie zaczynamy więc nie tyle otwierać dziecku drzwi, ile montować ich dwadzieścia obok siebie i krzyczeć: „Wybieraj swobodnie, tylko szybko, bo za siedem minut zaczyna się robotyka”.

Nie pomaga fakt, że współczesne rodzicielskie otoczenie potrafi zamienić zwykłą decyzję w mały egzamin z odpowiedzialności. Jedno dziecko ma trzy treningi tygodniowo. Drugie zna dwa języki. Trzecie jeździ konno, gra w szachy i prawdopodobnie negocjuje już warunki pierwszej rundy finansowania startupu. W rozmowie pod szkołą łatwo odnieść wrażenie, że zwykłe „po lekcjach wraca do domu” brzmi podejrzenie skromnie. Do domu? Tak po prostu? Bez instruktora? Bez certyfikatu? Bez rozwoju kompetencji przyszłości? Dziecko miałoby usiąść na dywanie, wyciągnąć kredki i przez czterdzieści minut produkować coś, czego nie da się wpisać do żadnego portfolio? Proszę państwa, przecież gospodarka tego nie

wytrzyma. Żart jest oczywiście żartem, ale napięcie pod nim jest prawdziwe: skoro inni robią dużo, łatwo uznać, że „dużo” stało się nowym „wystarczająco”.

A przecież zwykły wolny czas wygląda fatalnie w tabeli. Nie ma jasno opisanych celów. Trudno zmierzyć postęp. Dziecko leży, coś buduje, snuje się po domu, gada z rodzeństwem, patrzy przez okno, wychodzi na podwórko i wraca z patykiem, który z nieznanых przyczyn trzeba zachować. Z punktu widzenia dorosłego przyzwyczajonego do produktywności wygląda to jak niewykorzystany zasób. Godzina bez planu aż prosi się, żeby coś do niej dopisać. Tyle że dzieciństwo nie jest pustym kalendarzem czekającym na optymalizację. Czas bez przygotowanego celu może służyć odpoczynkowi, samodzielnej zabawie, relacjom, nudzie, własnym pomysłom albo po prostu dojściu do siebie po dniu, w którym dziecko przez kilka godzin siedziało w grupie, słuchało poleceń, przełączało uwagę i próbowało pamiętać, że zeszyt w kratkę jest dziś potrzebny, a ten w linię absolutnie nie. To nie jest czas „na nic”. To czas bez dorosłego działu planowania.

Nie oznacza to oczywiście, że zajęcia dodatkowe są złe, a idealne dzieciństwo polega na wypuszczeniu dziecka rano z kanapką i prośbą, żeby wróciło przed maturą. Dobre zajęcia mogą dawać ogromną frajdę, ruch, relacje, rozwój umiejętności i poczucie, że człowiek znalazł coś swojego. Kłopot zaczyna się wtedy, gdy przestajemy pytać, co naprawdę służy temu konkretnemu dziecku, a zaczynamy zarządzać liczbą okazji. Cztery sensowne aktywności nie muszą być razem sensownym tygodniem. To trochę jak z deserami. Sernik jest dobry. Lody są dobre. Szarlotka jest dobra. Czekoladowy fondant również nie popełnił wobec nas żadnego przestępstwa. Zjedzone kolejno w piętnaście minut

mogą jednak doprowadzić do refleksji, że ocena składników osobno miała pewne ograniczenia. Kalendarz działa podobnie: trzeba patrzeć nie tylko na wartość pojedynczych zajęć, lecz także na koszt całego zestawu.

I właśnie ten koszt bywa niewidoczny. W planie widzimy godzinę treningu, ale nie zawsze dojazd, przebieranie, czekanie, powrót, przygotowanie sprzętu i przesuniętą kolację. Widzimy lekcję języka, niekoniecznie moment, w którym dziecko po ośmiu godzinach obowiązków ma jeszcze przez kolejne sześćdziesiąt minut być uprzejmie zainteresowane czasem Present Perfect. Widzimy rozwój, ale nie zawsze zauważamy, że rodzina zaczyna funkcjonować jak firma transportowa, w której dział logistyki składa się z jednej zmęczonej osoby mówiącej przez zestaw głośnomówiący: „Tak, mam strój. Nie, nie ten strój. Ten drugi strój został u taty”. Co ważniejsze, dziecko także może przez długi czas dobrze znosić tempo, które niekoniecznie jest dla niego dobre. Nie każde przeciążenie wygląda jak dramatyczne „nie chcę już nigdzie chodzić”. Czasem wygląda jak coraz większa niechęć do wychodzenia, wieczne negocjacje przed zajęciami, rozdrażnienie wieczorem albo radość z odwołanego treningu większa niż z samego treningu.

Rodzic ma przy tym wyjątkowo niewdzięczne zadanie, ponieważ musi odróżnić kilka rzeczy, które z zewnątrz wyglądają niemal identycznie. Dziecko może nie chcieć iść na zajęcia dlatego, że jest chwilowo zmęczone, dlatego że przechodzi normalny kryzys, dlatego że nie lubi prowadzącego, dlatego że aktywność przestała mu odpowiadać albo dlatego, że po prostu wolaloby przez całe popołudnie oglądać filmiki i konsumować chrupki w pozycji przypominającej przecinek. Nie każda niechęć oznacza

więc, że trzeba natychmiast rezygnować. Ale też nie każda niechęć jest czymś, co należy przezwyciężyć w imię „nauki systematyczności”. Czasem konsekwencja jest potrzebna. Czasem potrzebne jest powiedzenie: „Sprawdziliśmy. Nie działa. Kończymy”. Problem w tym, że rodzice często dostają dwa skrajne komunikaty jednocześnie: nie zmuszaj dziecka do niczego oraz naucz je wytrwałości. Bardzo wygodne. Mniej więcej tak samo pomocne jak instrukcja prowadzenia samochodu brzmiąca: jedź, ale pamiętaj, żeby czasem nie jechać.

Ta książka nie będzie więc próbą ustalenia magicznej liczby zajęć odpowiedniej dla każdego dziecka. Nie ma uniwersalnej odpowiedzi typu „dwa i pół zajęcia tygodniowo, w tym dokładnie 0,7 aktywności sportowej”. Dzieci różnią się energią, temperamentem, potrzebą odpoczynku, zainteresowaniami, wiekiem i tym, jak wygląda ich zwykły dzień. Rodziny różnią się czasem, pieniędzmi, logistyką, liczbą dzieci i dostępem do zajęć. Sensowny plan dla jednego domu może być kompletnie absurdalny w drugim. Chodzi raczej o nauczanie się patrzenia na cały tydzień, rozpoznawania kosztów ukrytych pod słowem „tylko godzinka”, oddzielania rzeczywiście ważnych potrzeb od rodzicielskiego lęku przed przegapieniem okazji oraz prowadzenia rozmów z dzieckiem tak, żeby jego zdanie było czymś więcej niż ankietą, której wynik i tak znamy przed zadaniem pytania.

Najważniejsze będzie jednak odzyskanie prawa do traktowania wolnego czasu jak czegoś wartościowego, a nie jak usterki w kalendarzu. Nie będziemy robić z nudy świętego rytuału ani udawać, że każde dziecko po trzydziestu minutach bez ekranu spontanicznie napisze symfonię i odkryje nowy pierwiastek. Czasem będzie się

nudzić. Czasem będzie marudzić. Czasem wykorzysta wolne popołudnie do zbudowania fortecy z koców, a czasem do leżenia na kanapie tak intensywnego, jakby właśnie zdobywało w tej dyscyplinie mistrzostwo województwa. I dobrze. Celem nie jest stworzenie pustego kalendarza. Celem jest taki rytm życia, w którym zajęcia dodatkowe są dodatkiem do dzieciństwa, a nie dzieciństwo przerwą techniczną między jednymi zajęciami a drugimi.

Jeżeli więc zdarzyło ci się patrzeć na rodzinny tydzień i zastanawiać, kiedy właściwie wszyscy zaczęliście funkcjonować według grafiku lotniska, jesteś we właściwym miejscu. Nie będziemy wyrzucać wszystkich zajęć, urządzać ceremonii palenia plannerów ani wmawiać sobie, że każda rezygnacja jest zwycięstwem nad systemem. Zamiast tego przyjrzymy się temu, co naprawdę daje dziecku wartość, co tylko dobrze wygląda w teorii, ile kosztuje każda kolejna aktywność i jak zostawić przestrzeń na życie, którego nikt wcześniej nie wpisał do kalendarza. Bo dziecko może uczyć się, trenować, próbować nowych rzeczy i rozwijać zainteresowania bez prowadzenia tygodnia przypominającego przygotowania olimpijskie. A rodzic może czasem usłyszeć pytanie „Co dzisiaj robimy?” i odpowiedzieć bez poczucia winy: „Nic szczególnego”. To również jest plan. Tylko wyjątkowo nie trzeba go wpisywać na 17:30.

Rozdział 1 - Kiedy rozwój zaczyna przypominać logistykę

W środę o 18:06 rodzic siedzi na plastikowym krześle przed salą gimnastyczną z jedną skarpetą sportową w kieszeni, bidonem należącym prawdopodobnie do własnego dziecka i wiadomością na telefonie: „Przypominamy, że jutro wyjątkowo zajęcia odbędą się o 16:30”. To słowo „wyjątkowo” pojawia się trzeci raz w tym miesiącu, więc powoli zaczyna znaczyć „zgodnie z chaosem”. Dziecko jest na treningu. W domu czeka praca domowa, niedokończona makietą, kolacja i szkolny strój galowy, którego góra istnieje, ale dół najwyraźniej podjął samodzielną decyzję o emigracji. W piątek angielski, w sobotę turniej, w niedzielę urodziny kolegi, które formalnie są rozrywką, choć wymagają kupienia prezentu, przejazdu przez pół miasta i odnalezienia sali zabaw ukrytej na terenie centrum handlowego wielkości Monako. Pojedynczo nic tu nie wygląda dramatycznie. Razem tworzy tydzień, w którym każdy członek rodziny ma wrażenie, że właśnie zakończył zmianę w centrum zarządzania ruchem lotniczym.

Pierwszy problem z przeładowanym grafikiem polega na tym, że bardzo trudno go zobaczyć, patrząc wyłącznie na liczbę zajęć. Dwoje dzieci może mieć po trzy aktywności tygodniowo, a ich sytuacja będzie zupełnie inna. Jedno wraca ze szkoły o czternastej, na trening idzie pieszo pięć minut, zajęcia trwają godzinę i kończą się przed kolacją. Drugie wychodzi ze świetlicy o szesnastej, jedzie trzydzieści pięć minut przez korki, przebiera się na parkingu z elegancją człowieka próbującego założyć spodnie w kabinie samolotu, ćwiczy półtorej godziny, wraca po dwudziestej i jeszcze